

Siłą dla mnie jest wiara innych ludzi - Abp Marek Jędraszewski z rozmowie z ks. Przemysławem Węgrzynem	2
Anna Skopińska, abp Marek Jędraszewski: Prawdy szukajmy u źródła	10
Ks. Henryk Zieliński: Miłe zaskoczenie	19
Ks. Henryk Zieliński: Mocny debel	22
Anna Cichobłazińska, Abp Marek Jędraszewski: Między kryzysem wartości a nihilizmem	24
Ks. Marek Gancarczyk: Piękna twarz Kościoła	32

Silą dla mnie jest wiara innych ludzi - Abp Marek Jędraszewski z rozmowie z ks. Przemysławem Węgrzynem

<http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WE/jedraszewski/pk201236-rozmowa.html>

Abp Marek Jędraszewski, metropolita łódzki w rozmowie z ks. Przemysławem Węgrzynem, redaktorem naczelnym „Przewodnika Katolickiego”

Scire Christum — poznać Chrystusa



O powierzeniu posługi metropolity łódzkiego dowiedział się Ksiądz Arcybiskup na górskim szlaku. Czy nie jest to szczególny znak? Przecież to w górach szczególnie mocno odczuwa się obecność Boga.

Niewątpliwie, góry mają swój szczególny urok i szczególną mowę. Dla mnie zawsze było czymś bardzo przejmującym to, że również pod koniec swego życia, kiedy nie mógł już chodzić, swoim zwyczajem Jan Paweł II spędzał wakacje w górach. Siedząc w fotelu, wpatrywał się w nie przez wiele godzin. Ten fakt wiele mówi o jego wrażliwości na mowę

Pana Boga, właśnie w górach i poprzez nie. Wspominam tutaj Jana Pawła II, ponieważ skojarzenia narzucają się same. Od dawnych, jeszcze młodzieńczych lat lubiłem góry, lubiłem zмагаć się ze zmęczeniem, z wysokością. Przede wszystkim jednak lubiłem chodzić po górach, by tam słuchać mowy Pana Boga, modlić się, rozważać. Stąd, zwłaszcza w ostatnich latach, nie stroniłem od samotnych wycieczek. Po wtóre, samo ogłoszenie nominacji. Bynajmniej nie pragnę porównywać się z Janem Pawłem II, to byłoby coś wysoce niestosownego. Jednakże to inni ludzie zauważyli, że moja nieoczekiwana nominacja, niejako wyrwanie na kilka dni z wakacji, a potem powrót w góry przypominają sposób powołania ks. Karola Wojtyły na biskupa: też był na wakacjach, co prawda nie w górach, ale na mazurskich jeziorach, gdy go wezwano do kard. Wyszyńskiego w sprawie nominacji na biskupa pomocniczego krakowskiego, i też po kilku dniach wrócił do przyjaciół, by razem z nimi kontynuować przerwany szlak.

Od nominacji minął ponad miesiąc. Zapewne był to czas bardzo pracowity, pełen przemyśleń i planów. Jakie one są?

Wielu wyobraża sobie, że już bardzo dobrze znam archidiecezję łódzką i mam precyzyjne plany odnośnie do tego, co tam zrobić. To nie jest prawdą. Poza ogólnymi danymi socjologicznymi oraz znajomością księży biskupów i kilku księży nie potrafię nic więcej o Łodzi powiedzieć. Wiem, że jest tam wiele problemów. Są to problemy związane z życiem religijnym, z siecią parafii, ale także z pewnym kryzysem ekonomicznym, który ciągle Łódź dotyka. Kilka dni temu opublikowano w Polsce dane o regionach i miejscowościach, z których najwięcej ludzi ucieka w poszukiwaniu pracy. Łódź należy do takich miejsc. Ta sytuacja jawi się także jako poważny problem duszpasterski.

Łódź to także jedno z tych miast, w których jest najmniejszy procent uczestniczących we Mszy św. i przyjmujących Komunię św. Jakiej Ksiądz Arcybiskup widzi możliwości, by to zmienić?

Uważam to za wielkie zadanie stojące przed archidiecezją łódzką. Jeśli chodzi o ożywianie pobożności eucharystycznej, to istnieje tam pewna tradycja związana z pielgrzymką Jana Pawła II w 1987 r. Odbywał się wtedy

Kongres Eucharystyczny, poszczególne miejsca pobytu Ojca Świętego w Polsce wyznaczały równocześnie kolejne stacje tego kongresu. Jedną z nich była Łódź. Tu miała miejsce Pierwsza Komunia Święta dzieci. W tym roku przypadała 25. rocznica wizyty Ojca Świętego w Łodzi, co stało się tam okazją do przypomnienia tego ważnego wydarzenia związanego z Eucharystią.

Mówiąc jednak o pobożności eucharystycznej, trzeba spojrzeć na nią szerzej. Eucharystią należy żyć na co dzień. Skoro niedzielna Msza św. — jak naucza Sobór Watykański II — jest źródłem i szczytem chrześcijańskiego życia, to człowiek wychodząc w niedzielę z kościoła, powinien pamiętać nie tylko o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Zbawcze wydarzenie dokonujące się podczas Mszy św. musi być tym, do czego powinien on nawiązywać — poprzez codzienną modlitwę, pracę, wszystkie dobre dzieła, również godziwy wypoczynek — przez cały tydzień, aby na Mszę św. w kolejną niedzielę przynieść możliwie wiele duchowych owoców swego prawdziwie chrześcijańskiego życia i złożyć je Bogu w ofierze. Całe życie chrześcijanina staje się prawdziwie sensowne właśnie poprzez i dzięki Eucharystii. Nie bez powodu ostatnia, opublikowana w 2003 r. encyklika Jana Pawła II nosi tytuł *Ecclesia de Eucharistia*. Jest w niej mowa o Kościele, który ciągle na nowo rodzi się dzięki Eucharystii. Właśnie z takim przesłaniem, z taką wizją chrześcijańskiego życia, chciałbym dotrzeć do dzieci, młodzieży i dorosłych. Pewnym przedłużeniem takiej wizji jest osobista adoracja Najświętszego Sakramentu. W katedrze łódzkiej, a zapewne także w innych kościołach archidiecezji łódzkiej, są kaplice wieczystej adoracji. Trzeba dążyć do tego, aby Pan Jezus wystawiony w monstrancji nie był sam. Aby stale modliło się przed nim wiele osób.

Tylko że w dzisiejszym świecie dotkniętym sekularyzacją nie jest tak łatwo prowadzić ludzi do Boga. Ten świat próbuje raczej ich odciągać i od Boga, i od Kościoła.

Niewątpliwie jest taki trend, aby z jednej strony przekonywać ludzi, że proces laicyzacji, wręcz agresywnego laicyzmu, jest jakąś koniecznością dziejową, że tak po prostu musi być. Z drugiej strony próbuje się ludzi odciągać od Kościoła, wmawiając im, że jest on niemalże organizacją przestępczą. Taka swoista obróbka ich umysłów musi prowadzić do

określonych skutków. W przypadku wielu ludzi wierzących mamy do czynienia ze wstydlwym milczeniem, gdy obraża się Kościół. Wielu nie ma odwagi przyznać się publicznie do tego, że są osobami wierzącymi i że chodzą na niedzielne Msze św. Nie możemy jednak zapominać o tym, że Kościół katolicki jest jedyną instytucją o charakterze globalnym, która naprawdę broni życia i podstawowych praw człowieka. Że dzięki temu jest to jedyna, prawdziwie humanistyczna instytucja o tak wielkiej skali i zasięgu oddziaływania. Myślę, że współczesne ataki na Kościół są spowodowane właśnie tym, że on tak bardzo, tak jednoznacznie stoi przy człowieku, realizując to, co w swojej pierwszej programowej encyklice *Redemptor hominis* napisał Jan Paweł II: „człowiek jest drogą Kościoła”. Cały pontyfikat tego papieża stał się jednym wprost gigantycznym wysiłkiem, pokazującym światu to, jak bardzo Kościół był i jest z człowiekiem. Dzisiaj natomiast robi się wiele, aby nie dostrzegać tego dobra, owszem, aby Kościół nieustannie oskarżać.

Dlaczego?

Robi się to po to, by podważyć zaufanie do niego, a jeszcze bardziej po to, by negocować pewną wizję człowieka, którą głosi Kościół. Powiem bardziej jednoznacznie — odnosząc się do poglądów i programów tak nachalnie dzisiaj głoszonych, dotyczących aborcji, eutanazji, poczęcia metodą *in vitro*, czy do tak zwanych związków homoseksualnych — dziś prowadzi się ludzi do zwątpienia w to, że istnieją prawdziwe, obiektywne wartości. Chodzi bowiem o to, aby ludzie uważali, że prawda polega jedynie na tym, co oni sami myślą, co im się po prostu wydaje. W konsekwencji prowadzi to do tego, co Benedykt XVI określił mianem dyktatury relatywizmu. Ta swoista dyktatura sprawia, że ludzie zaczynają wątpić, czują się zagubieni i bezradni wobec potęgi kłamstwa. Co więcej, oskarżając o różne rzeczy Kościół, osłabia się, z jednej strony, jego autorytet, a z drugiej tym łatwiej wprowadza się programy, które obracają się nie tylko przeciwko poszczególnym ludziom, ale i całym społecznościom. Najlepszym — eksperymentalnym! — potwierdzeniem tego są budzące ogromne zaniepokojenie dane demograficzne. Społeczeństwa zachodnie — w tym także Polska — po prostu wymierają. Dlatego trzeba z całą mocą mówić współczesnemu światu, że prawda o człowieku, o tym, kim on jest, o jego godności, a także o tym, do czego jest on powołany, jest zawarta w Ewangeli

Jezusa Chrystusa głoszonej przez Kościół katolicki. Wszystko natomiast, co się temu sprzeciwia, jest po prostu kłamstwem. Prędzej czy później okaże się, jak tragiczne w skutkach może być zwodzenie ludzi i karmienie ich kłamstwami.

Co jest więc najważniejsze w posłudze biskupiej we współczesnym świecie?

Jeżeli chcemy ocalić człowieka i na miarę możliwości czynić go szczęśliwym, to musimy trwać przy tym obrazie człowieczeństwa, który objawił nam Pan Jezus, a który konsekwentnie głosi Kościół. Inaczej mówiąc, prawdę ewangeliczną należy ukazywać światu w porę i nie w porę, czy się to komuś podoba, czy nie. Jest to postawa pasterza, której od św. Tymoteusza domagał się św. Paweł Apostoł (por. 2 Tm 4, 2). Warto przypomnieć w tym miejscu, tytułem ilustracji, dwie encykliki wydane w 1937 r. przez papieża Piusa XI. Jedna została skierowana przeciw bezbożnemu bolszewizmowi, druga przeciwko hitleryzmowi. Dla Piusa XI zasadniczym punktem wyjścia w jego zdecydowanym potępieniu obydwóch tych systemów było to, że odrzucały one Boga, a w jego miejsce stawiały czy to genseka (sekretarza generalnego partii), czy Führera. W tym czasie żyło w Europie wielu ludzi, którzy zaciekle, w zależności od swej opcji politycznej, bronili bolszewizmu lub hitleryzmu — i to w państwach demokratycznych. Ci ludzie sądzili, że systemy totalitarne mają po prostu dziejową słuszność, wobec której nie ma żadnych innych realnych alternatyw. Że tak musi być i że tylko one gwarantują świetlaną przyszłość. Głos Piusa XI, jednoznacznie potępiający obydwie te systemy, był wtedy głosem odosobnionym, krytykowanym przez jednych, przemilczanym przez drugich. Żadna z działających wtedy bardziej znaczących sił politycznych nie wzięła pod uwagę tego, przed czym ten papież przestrzegał: że dalsza ekspansja totalitaryzmów w sposób nieunikniony doprowadzi do niewyobrażalnych tragedii i nieszczęść. I tak się rzeczywiście stało. Potwierdziła to tragedia II wojny światowej, a także to, co działo się w Europie Środkowej i Wschodniej aż do 1989 r. Ja bym chciał zapytać tych wszystkich ludzi, którzy z taką mocą głoszą dzisiaj programy eutanazji, aborcji, in vitro, czy nie widzą tego, do czego chcą doprowadzić ludzi, niekiedy wprost cynicznie okłamując ich i snując przed nimi zwodnicze iluzje? Czy naprawdę nie są w stanie dostrzec tego, że

odchodząc od fundamentalnych zasad dotyczących życia moralnego i odrzucając istnienie Pana Boga, skazują ludzi na ogrom nieszczęść?

To zmaganie się z kłamstwem na pewno jest bolesnym doświadczeniem dla człowieka wiary. Skąd brać siły do takiej walki?

Z potwornością kłamstwa spotykał się sam Pan Jezus, zwłaszcza wtedy, gdy oskarżono Go, że mocą Belzebuba dokonuje cudów. Nie można było bardziej obrazić Syna Bożego. Kiedy w Imperium Rzymskim co jakiś czas wybuchały prześladowania, oskarżano chrześcijan o to, że są czcicielami ośleń głowy i że są wrogami ludzkości. To dowodzi, że kłamstwo zawsze istniało i że nie mogło ono ścierpieć prawdy głoszonej przez chrześcijaństwo. Z drugiej jednak strony historia uczy, że kłamstwo prędzej czy później zostaje obnażone i skompromitowane. Ostatecznie jest przecież ono skazane na upadek. Nie wolno zapominać o tym, co powiedział Pan Jezus: „prawda was wyzwoli” (J 8, 32). Po wtóre, to właśnie dlatego zsyła On nieustannie od Ojca na Kościół Ducha Świętego, aby chrześcijanie umocnieni Jego darami dawali światu świadectwo o Nim, a jako żywe kamienie przyczyniali się do budowy Kościoła. Po trzecie, siłę do świadczenia o Bożej prawdzie możemy czerpać, patrząc na bohaterów wiary — na świętych. Podczas swego długiego pontyfikatu Jan Paweł II beatyfikował i kanonizował całe zastępy wspaniałych chrześcijan, żyjących w różnych miejscach i czasach. Każdy z nich w jakiś inny, właściwy dla siebie sposób musiał okazać się heroiczny w swojej wierze. Całe to bogactwo świadectwa świętych pokazuje, że można i trzeba trwać przy Chrystusowej prawdzie.

A co jest źródłem siły dla Księdza Arcybiskupa?

Siłą do głoszenia Ewangelii jest relacja i więź z Panem Bogiem poprzez modlitwę osobistą i wspólnotową, poprzez sprawowanie Eucharystii. Siłą dla mnie jest też wiara innych ludzi. Biskup to nie tylko człowiek, który naucza i każe się modlić, ale to także człowiek, który potrafi się zachwycić wiarą innych ludzi. Ona go także umacnia. Na tym też polega

piękno Kościoła, że każdy realizując wiernie swoje powołanie, przyczynia się do budowania Bożej wspólnoty (communio).

Mówiąc o tych, którzy cały czas budują wspólnotę Kościoła, nie sposób nie zapytać Waszej Ekszelencji o młodzież. Ksiądz Arcybiskup jest członkiem Rady Konferencji Biskupów Europy do spraw Duszpasterstwa Akademickiego. Jak pomóc młodzieży odnaleźć swoje miejsce w Kościele?

Na to pytanie ciągle szuka się odpowiedzi. Młodym ludziom trzeba nieustannie powtarzać, że jeśli chcą być naprawdę szczęśliwi, to muszą przyjąć Ewangelię Chrystusa. Dzisiaj, idąc ulicami, na przykład Poznania, łatwo dostrzec dwa różne typy ludzi, urzeczywistniających w swym życiu dwa style zachowania. Te style są niejako wryte na ich twarzach. Jeden styl życia polega na tym, że idzie się — aż do zaparcia się samego siebie — za tym, co obiecuje świat, ze wszystkimi uciechami daleko odbiegającymi od tego, co dobre i mądre. Zupełnie inne oblicza mają ci, którzy starają się żyć Ewangelią na miarę swoich sił, pomimo słabości i upadków. To właśnie z nich emanują prawdziwa radość i pokój. Problem i zarazem zadanie duszpasterzy polega na tym, aby pomagali młodym ludziom nie tylko dostrzec istnienie tych dwóch stylów życia i związanych z nimi dwóch jakże odrębnych rodzajów twarzy, ale aby pomagali młodym w zrozumieniu tego, że szczęście może być udziałem jedynie tych, którzy starają się wiernie żyć według Ewangelii głoszonej im przez Kościół katolicki. To jest coś, czego nie da się ukazać na lekcjach religii w szkole. Wprawdzie w szkole trzeba o tym mówić, ale tego się tam nie doświadczy. To można zobaczyć i przeżyć we wspólnotach parafialnych, ruchach i stowarzyszeniach, gdzie młodzież znajduje wzajemne oparcie dla siebie i nawzajem się inspiruje do tego, by zawsze być razem we wspólnocie (communio), blisko Chrystusa. Tam też utwierdza się w przekonaniu, że warto się wysilać i ciągle iść naprzód — a w ten sposób budować siebie, Ojczyznę i Kościół.

Jako metropolita łódzki będzie Ksiądz Arcybiskup używał nowego herbu biskupiego. Jaka jest jego treść?

To jest tylko częściowo nowy herb w stosunku do tego, jaki miałem dotychczas. Nowy herb ma nieco inny układ. W jego głębi znajduje się krzyż metropolitalny, natomiast u jego dołu jest paliusz, ponieważ Łódź jest stolicą metropolitalną. Zostało zachowane hasło biskupie Scire Christum — „poznać Chrystusa”. Pozostaje krzyż na zielonym tle i złoty lew św. Marka na tle czerwonym, a na niebieskim tle biała (srebrna) róża — symbol Matki Bożej Róży Duchownej ze Świętej Góry koło Gostynia. Do tej róży doszedł nowy element. Jest nim lilia, symbol św. Józefa, który jest patronem archidiecezji łódzkiej. W zakończeniu mojej bulli nominacyjnej, otrzymanej od Benedykta XVI, jest mowa o tym, by za przyczyną Matki Bożej, Jej Przczystego Oblubieńca św. Józefa i Ewangelisty św. Marka, aktywnie z całym ludem Kościoła łódzkiego poznawać Chrystusa. Tak więc zakończenie bulli jest swoistym komentarzem do mojego herbu.

Kończąc, chciałbym zapytać, jak będzie Ekscelencja wspominał archidiecezję poznańską?

Kiedy się mówi o wspomnieniach, często myśli się, że coś się bezpowrotnie zamknęło i że właśnie pozostają już tylko one. Tymczasem trudno sobie wyobrazić, żebym mógł w ogóle odciąć się od Poznania. Jest to niemożliwe z różnych względów. Tu znajdują się groby moich Rodziców i krewnych. Z Poznaniem łączą się wspaniałe wspomnienia z „Marcinka” (ciągle jeszcze dość regularnie spotykam się z moimi kolegami z liceum), a następnie przeżycia jako alumna ASD i studenta Papieskiego Wydziału Teologicznego, który rodził się na moich oczach. W Poznaniu przyjąłem święcenia kapłańskie, a potem biskupie. Pracowałem jako prefekt Arcybiskupiego Seminarium Duchownego i redaktor „Przewodnika Katolickiego”. Trudno przecież o tym zapomnieć. Pozostaje wspomnienie wspaniałej pracy i współpracy z abp. Stanisławem Gądeckim oraz biskupami pomocniczymi Zdzisławem i Grzegorzem, a także z licznymi księżmi i wiernymi świeckimi naszej archidiecezji. To głównie oni przypominają mi teraz, kiedy trzeba się żegnać i udać do Łodzi, o tym, co udało się osiągnąć — na przykład napis na Poznańskich Krzyżach, na których w 2006 r. pojawił się „dopisek” w postaci dwóch słów „O Boga”. Bez nich prawda o Powstaniu Poznańskim Czerwca 1956 roku pozostawałaby niepełna. Pozostaje zapewne wiele jeszcze innych, dla mnie

nieuchwytnych rzeczy, o których pamiętają ludzie. Często są oni dla mnie nieznanymi z imienia i nazwiska. Wiem jednak, że niekiedy jakieś moje słowo czy gest stały się w ich życiu bardzo ważne.

W imieniu wszystkich czytelników „Przewodnika Katolickiego” życzę zatem stałej opieki Bożej Opatrzności oraz wielu sił do pełnienia posługi pasterskiej w Łodzi. Szczęść Boże!

Anna Skopińska, abp Marek Jędraszewski: Prawdy szukajmy u źródła

http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PR/niedziela201609_chrzest.html



Z abp. Markiem Jędraszewskim – metropolitą łódzkim, zastępcą przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski – rozmawia Anna Skopińska

ANNA SKOPIŃSKA: – Księżę Arcybiskupie, jesteśmy przed centralnymi uroczystościami jubileuszu 1050. rocznicy Chrztu Polski. Historycznie rzecz biorąc, Kościół był mocno związany z państwowością polską. Może więc ten szczególnie czas powinien posłużyć do uświadomienia ludziom właśnie tej bliskości Kościoła z państwem?

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: – Uroczystości jubileuszu 1050. rocznicy Chrztu Polski uświadamiają nam przede wszystkim specyfikę polskiego narodu i jego historii. W przypadku innych narodów Europy stosunkowo wiele wiemy o tym, co się u nich działo przed przyjęciem przez nie chrześcijaństwa. Zachowały się dość liczne świadectwa, mówiące o tym, jak chrześcijaństwo przemieniało struktury poszczególnych narodów i państw. Jeśli natomiast chodzi o Polskę, mamy do czynienia z czymś zupełnie wyjątkowym. Nie znajdziemy żadnych zapisów historycznych odnoszących się do czasu sprzed 966 r. Jest tylko jedna informacja o bitwie pogańskich Redarów i Wolinian pod wodzą Wichmana w 963 r., którą Mieszko dotkliwie przegrał. W bitwie poległ nawet jego brat. Naraz przychodzi rok 966. Polska dzięki przyjęciu przez Mieszka I, jego dwór i wojów chrztu wchodzi do wspólnoty państw europejskich jako jej pełnoprawny członek. Wchodzi do Europy i obficie czerpie z dorobku jej kultury. Dokonuje się to, co często podkreślał Jan Paweł II: przyjęcie przez Mieszka I chrztu stało się nie tylko początkiem chrześcijaństwa w Polsce – ono stanowi także początek polskiego narodu i polskiej państwowości. Nie ma innych takich narodów w Europie, to jest coś niezwykłego. W przypadku wielu, być może obchody jubileuszowe przyczynią się do odkrycia tego podstawowego dla nas, Polaków, faktu. Faktu, dzięki któremu możemy w pełni zrozumieć przesłanie, jakie skierował do Polaków Jan Paweł II podczas pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny. 2 czerwca 1979 r. na placu Zwycięstwa w Warszawie powiedział: „Kościół przyniósł Polsce Chrystusa – to znaczy klucz do rozumienia tej wielkiej i podstawowej rzeczywistości, jaką jest człowiek. Człowieka bowiem nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa. A raczej: człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa. Nie może zrozumieć ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność, ani

jakie jest jego powołanie i ostateczne przeznaczenie. (...) Otóż nie sposób zrozumieć dziejów narodu polskiego – tej wielkiej tysiącletniej wspólnoty, która tak głęboko stanowi o mnie, o każdym z nas – bez Chrystusa. Jeślibyśmy odrzucili ten klucz dla zrozumienia naszego narodu, narazilibyśmy się na zasadnicze nieporozumienie. Nie rozumielibyśmy samych siebie”. Dzisiaj do tego powracamy, odkrywamy tę prawdę na nowo. W stosunku do 1979 r. pojawiły się nowe pokolenia Polaków, jest nowa rzeczywistość, są nowe wyzwania, w tym również próby narzucenia antychrześcijańskiej, niekiedy wręcz ateistycznej narracji, która ma podkopywać także moralne fundamenty naszego życia. W świetle tego wszystkiego wracamy do naszych korzeni.

– Korzeni, które mogą być swoistym argumentem dla tych, którzy próbują Kościół i wiarę zepchnąć do sfery prywatności, i tych, którzy tej historii nie chcą przyjąć...

– Warto zatem wracać do słów Jana Pawła II z placu Zwycięstwa. Do tego, co mówił, że nawet ci, którzy są niewierzący i są daleko od Boga i od Kościoła, nie rozumieją siebie jako Polaków bez odniesienia do Chrystusa i tradycji kulturowej Polski, której korzenie tkwią w chrześcijaństwie. „Otóż tego, co naród polski wniósł w rozwój człowieka i człowieczeństwa – mówił wtedy Papież – co w ten rozwój również dzisiaj wnosi, nie sposób zrozumieć i ocenić bez Chrystusa. «Ten stary dąb tak urósł, a wiatr go żaden nie obalił, bo korzeń jego jest Chrystus» (Piotr Skarga, «Kazania sejmowe»). Trzeba iść po śladach tego, czym – a raczej kim – na przestrzeni pokoleń był Chrystus dla synów i córek tej ziemi. I to nie tylko dla tych, którzy jawnie weń wierzyli, którzy Go wyznawali wiarą Kościoła, ale także i dla tych pozornie stojących opodal, poza Kościołem. Dla tych wątpiących, dla tych sprzeciwiających się” – wskazywał Ojciec Święty. Idąc tropem tego papieskiego przesłania, trzeba by stwierdzić, że nie sposób uchwycić i zrozumieć polskości bez jej zakorzenienia w Chrystusie i Jego Ewangelii. Wszyscy, którzy by to zakorzenienie chcieli negować, popełniają fundamentalny błąd metodologiczny. W jakiejś mierze stawiają się nawet poza tym narodem.

– Obecność Kościoła w życiu państwa polskiego od 966 r. jest bezsprzeczna. To pierwsi artyści, kronikarze, pisarze, budowniczcy, architekci...

– Wtedy na pewno wszystko to szło od Kościoła i poprzez Kościół. Cała kultura: piśmiennictwo, malarstwo, budownictwo, ale także sztuka uprawiania roli. W wyniku przyjęcia chrztu państwo Mieszka I otrzymało dla swego rozwoju nowe stymulacje i nowe inspiracje, a równocześnie środki materialne i duchowe, aby te stymulacje i inspiracje móc urzeczywistniać. Tak było przez całe wieki naszych dziejów. Tworzyła się prawdziwa symbioza między państwem polskim a Kościołem. W pewnym momencie dziejów, konkretnie w 1795 r., na skutek trzeciego rozbioru, państwo polskie przestało istnieć. Ale był Kościół katolicki! Kościół, który przejął rolę tego, co scalało naród, rozdarty w latach 1795 – 1918 przez trzech, a w latach 1939-45 przez dwóch zaborców.

– **Możemy powiedzieć, że gdyby nie Kościół, to państwo polskie by się nie odrodziło?**

– Myślę, że tak. Zwłaszcza że zaborcy robili wszystko, by nas wynarodowić, usiłowali wprowadzić kulturę rosyjską lub niemiecką. Stosowali także, mówiąc współczesnym językiem, pedagogikę wstydu – chcieli sprawić, by Polacy wstydzili się polskości, historii swej Ojczyzny, jej dokonań, wspaniałej przeszłości i kultury. A Kościół tego wszystkiego bronił. Nie bez powodu katolickie książeczki do nabożeństwa były swego rodzaju elementarzem, na którym polskie dzieci uczyły się alfabetu łacińskiego. W szkołach rosyjskich obowiązywała cyrylica, w pruskich – gotyk, a dzieci, czytając katolickie modlitwy drukowane w alfabecie łacińskim, ciągle trwały przy kulturze polskiej. Ciągle miały szansę na to, by nie utracić więzi z przeszłością, a przez to z katolicką tradycją naszego narodu, która wyrażała się m.in. w alfabecie łacińskim.

– **Przy okazji jubileuszu warto chyba przypomnieć wielkie postaci, które przewinęły się przez długie lata naszej historii.**

– Trzeba przypomnieć te postaci. I to nie tylko ludzi Kościoła, jego hierarchów. To prawda, przez wieki biskupi byli senatorami Rzeczypospolitej, a prymasi nawet interreksami. Mówiąc językiem współczesnym, stanowili pewną klasę polityczną. W czasach najnowszych tę wyznaczoną przez nich wspaniałą tradycję przedłużali: kard. August Hlond,

kard. Stefan Wyszyński, abp Antoni Baraniak – więzień czasów stalinowskich, kard. Karol Wojtyła. Trzeba mieć w pamięci także tych księży, którzy czuli się odpowiedzialni za Polskę i starali się ją naprawiać. Mam na myśli ks. Piotra Skargę czy najwspanialszych przedstawicieli polskiego oświecenia, którzy w zdecydowanej większości byli księżmi. Nie wolno zapominać również o tych bohaterskich księżach, którzy brali udział w powstaniach: listopadowym, styczniowym, wielkopolskim, warszawskim. Którzy cierpieli za Ojczyznę i ginęli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i radzieckich łagrach, którzy podtrzymywali ducha polskości aż do czasów nam najbliższych – aż po bł. ks. Jerzego Popiełuszkę, ks. Sylwestra Zycha czy ks. Stanisława Suchowolca i ks. Stefana Niedzielaka. Trzeba jednakże pamiętać również o ludziach świeckich – o wielkich twórcach polskiej państwowości i polskiej kultury. Oni wszyscy czerpali z chrześcijaństwa. To prawda, były też w naszej historii osoby znaczące, które z różnych powodów znajdowały się daleko od Kościoła. Jednakże nie mogły się od niego całkowicie odciąć.

– Jakich postaw wobec państwa uczy dziś Kościół?

– Uczy tego samego, czego zawsze uczył, tzn. tego, co wynika z czwartego przykazania: cześć okazywana rodzicom obejmuje także cześć wobec naszych przodków i ich dokonań, wobec zobowiązań, które płyną od nich ku nam. W niezwykle ważnej książce, noszącej tytuł „Filozofia dramatu”, ks. prof. Józef Tischner zamieścił m.in. rozważania dotyczące cmentarza. Dla niego cmentarz jawi się przede wszystkim jako miejsce spotkania z przeszłością i ze zobowiązaniem, jakie płynie ku nam od naszych przodków. Ale cmentarz może być również przejawem nienawiści i odrzucenia, kiedy komuś odmawia się prawa do grobu, kiedy jego ciało wrzuca się do wspólnego dołu, a nad miejscem tego przerażającego, nieludzkiego pochówku sadzi się las. Ks. Tischner miał niewątpliwie na uwadze Katyń i inne miejsca spoczynku naszych bohaterów zamordowanych przez Sowieców w Związku Radzieckim. My dzisiaj dorzucamy do tego „Łączkę” i inne, ciągle nieznanne nam miejsca, w których spoczywają relikwie Żołnierzy Wyklętych. Im odmówiono pamięci i prawa do grobu. Teraz chcemy do tych ich szczątków dotrzeć, odnaleźć je i pochować ze czcią, z najwyższym szacunkiem i wdzięcznością. Wiemy bowiem, że za tymi ich materialnymi szczątkami kryje się jakieś wielkie moralne zobowiązanie wobec nas. Chcemy, aby to, dla czego oni cierpieli, o co walczyli, za co w końcu

oddali swoje życie, niekiedy podczas okrutnych tortur, stało się przesłaniem dla nas: by tych wartości bronić i przekazywać je następnym pokoleniom.

– Powracamy też do słów marszałka Józefa Piłsudskiego: „Naród, który nie szanuje swej przeszłości (...) nie ma prawa do przyszłości”, a potem do konkluzji kard. Stefana Wyszyńskiego: „Naród, który odcina się od historii (...) traci korzenie własnego istnienia”. I do ludzi, którzy tworzyli naszą historię...

– To jest nasz fundamentalny obowiązek. To prawda, pewne wydarzenia czy rocznice bardziej nas mobilizują w skali społecznej, narodowej, państwowej i kościelnej. Kiedy jednak wczytamy się w poezję Karola Wojtyły, znajdziemy w niej wielkie wołanie o to, by nieustannie sięgać do korzeni i do źródeł. Nasza codzienność powinna polegać na ciągłym nawiązywaniu zarówno do przeszłości, jak i do stawianych sobie jasnych i wyrazistych celów odnoszących się do przyszłości. Korzenie są po to, by dawały życie, by dawały wzrost. Dlatego trzeba o nie dbać. A jednocześnie należy troszczyć się o to, by to, co przekażemy przyszłym pokoleniom, było jak najbardziej szlachetne i czyste. I dlatego w poezji Wojtyły często pojawia się inna metafora: źródło. Musimy na serio powtarzać za Papieżem pytanie: „Gdzie jesteś, źródło?”, aby następnie, gdy się odkryje miejsce, z którego ono wybija swe wody, lub przynajmniej ma się już jakieś intuicje, gdzie się ono może znajdować, wytrwale i wiernie „iść do góry, pod prąd”. To jedyna droga, aby móc dotrzeć do tych krystalicznych źródłanych wód, które pozwalają nam smakować pełną prawdę życia.

– Czy ten powrót do źródeł – to „iść pod prąd” – jest obecnie widoczny?

– Na szczęście można dostrzec dziś wielkie odrodzenie, zwłaszcza wśród ludzi młodych, którzy są wrażliwi na odkrywana przez siebie przeszłość. Od kilku miesięcy mamy też szczęście, że za tym pragnieniem powrotu do źródeł i do korzeni stoi państwo polskie. Do niedawna przecież to wszystko było wyśmiewane, ograniczane, i to nawet systemowo i instytucjonalnie – poprzez wycinanie lekcji historii z nauczania szkolnego. Komuś bardzo zależało na tym, żebyśmy byli pozbawiani pamięci i tego szczególnego zobowiązania, które spoczywa na nas, kiedy cofamy się

do źródeł i do korzeni. Dziś, dzięki Bogu, okazuje się, że z jednej strony jest ta wielka wrażliwość u młodych ludzi, a z drugiej – ta wrażliwość spotyka się z wrażliwością i zatroskaniem instytucjonalnym państwa. Nie możemy też zapomnieć o tym, że za tą wrażliwością przede wszystkim stoi Kościół. Że robi on naprawdę wiele, aby ocalić naszą narodową pamięć.

– Czy patrząc wstecz, z perspektywy czasu, tych 1050 lat, możemy powiedzieć, że Mieszko I, przyjmując chrzest, wykazał się odwagą? Czy dziś potrzebujemy takich ludzi, czy może nasze czasy ich już nie wymagają?

– Nie boję się powiedzieć, że Mieszko I był Bożym szaleńcem. Przecież on ryzykował życiem! Pogaństwo było wtedy silne i władca mógł spodziewać się reakcji z jego strony. Jednak zaryzykował. To Boża Opatrzność sprawia, że na każdym etapie dziejów pojawiają się Boży szaleńcy. Oni są światu potrzebni, wręcz niezbędni, aby ratować to, co najpiękniejsze w człowieku. Gdy spojrzymy na dzieje naszych ostatnich dziesięcioleci, możemy wskazać na bardzo konkretne postaci, które zasługują na miano Bożych szaleńców: Maksymiliana Marię Kolbego, Urszulę Ledóchowską, Faustynę Kowalską, kard. Stefana Wyszyńskiego, ks. Jerzego Popiełuszkę, a przede wszystkim Jana Pawła II. Głęboko wierzę, że Boża Opatrzność obdarzy nas podobnymi ludźmi i teraz, i w przyszłości. Jestem pewien, że Pan Bóg będzie ich nam dawał za dziesięć, za dwadzieścia lat, za pół wieku, za wiek...

– Zatem – to dzięki tym ludziom i ich świadectwu życia pytanie o przyszłość naszej Ojczyzny, narodu, Kościoła w Polsce nie rysuje się tak dramatycznie?

– Nie wiemy, jaka będzie przyszłość, bo każdy niemal dzień zaskakuje nas tym, co ze sobą niesie. Jednak wiara w Bożą Opatrzność daje nam pewność, że jest nad nami Bóg Ojciec, który nas kocha i o nas się troszczy. 1050 lat dziejów chrześcijańskiej Polski uczy nas przeogromnej ufności, z którą łączy się dar wewnętrznego pokoju. Pan Bóg nigdy nie opuścił naszego narodu. Wzbudzał w Kościele i poprzez Kościół postaci takich ludzi – owych Bożych

szaleńców – którzy dawali innym odwagę i podtrzymywali nadzieję. Jak długo naród polski będzie otwarty na Boga i będzie podążał za nauczaniem Kościoła, będzie się cieszył nadzieją na swą dobrą przeszłość.

– A nauka społeczna Kościoła? Nie brakuje przecież i dzisiaj najrozmaitszych problemów społecznych, nie brakuje trosk ludzi o byt swoich rodzin. Czy nie powinno się do tego nauczania nieustannie powracać?

– Kościół zawsze starał się być wrażliwy na potrzeby ludzi, a ze swoim przesłaniem odpowiadać na wyzwania konkretnych czasów. Pierwsza encyklika społeczna papieża Leona XIII, „Rerum novarum” z 1891 r., była poświęcona kwestii robotniczej – powstała w czasie, gdy proletariaty był jedynie robotniczą masą niezbędną dla kapitalistów, a ci bogacili się na bezwzględnym wyzyskiwaniu, co wołało wprost o pomstę do nieba. W dziewięćdziesięciolecie publikacji tego dokumentu, w 1981 r., Jan Paweł II ogłosił encyklikę „Laborem exercens”, o godności pracy ludzkiej, i to głównie w związku z Solidarnością, która wtedy w Polsce się rodziła. Z okazji stulecia „Rerum novarum”, w roku 1991, Jan Paweł II opublikował natomiast encyklikę „Centesimus annus”, w której m.in. poruszył sprawy społeczne w kontekście kryzysu demokracji, która łatwo może przekształcić się – jak pisał – w jawny lub zakamuflowany totalitaryzm, jeśli zatraci swoje odniesienie i szacunek do podstawowych wartości. Pamiętam krytyczne uwagi Adama Michnika i jego środowiska – poczuli się oni wtedy zagrożeni, uważając się za piewców „jedynie słusznej wersji demokracji” opartej na relatywizmie i odrzucającej obiektywne normy moralne. Nie ulega wątpliwości, że to, co w ostatnim czasie działo się u nas, zmierzało w tym właśnie kierunku. W imię demokracji odłączanej od obiektywnych wartości i norm w błyskawicznym tempie przegłosowywano kolejne ustawy, które podważały fundamentalny ład moralny, odnoszący się do rodziny, do poczęcia dziecka, do tego, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą. Bardziej boleśnie i głęboko nie można było uderzyć w człowieka. I po raz kolejny okazało się, że siły zła, owe „bramy piekielne”, nie są w stanie przemoc Kościoła. Bo wierzący w Boga naród opowiedział się za wartościami.

– To z pewnością wielkie zadanie Kościoła – w prawdzie napominać i wyjaśniać.

– Próbujemy zmieniać nastawienie ludzi. Obecnie chodzi głównie o to, aby zrozumieli oni, że nie są tylko zwykłą masą konsumpcyjną, swoiście produkowaną przez hipermarkety, czyli istotami, które mają jedynie coraz więcej jeść i pić, lepiej się ubierać i wyjeżdżać do dalekich krajów. Chodzi o to, aby ludzie ciągle pamiętali o tym, że nie samym chlebem żyje człowiek. Że jest on ostatecznie powołany do wieczności, która zaczyna się już tutaj, na ziemi – gdy codzienność jest przenikana duchem Chrystusowej Ewangelii.

Ks. Henryk Zieliński: Miłe zaskoczenie

http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PR/idziemy201651_jedraszewski.html

Nie bez znaczenia jest i to, że na jedną z najważniejszych metropolii w Polsce papież mianował hierarchę cieszącą się sympatią, szacunkiem i wielkim autorytetem w episkopacie Polski



Papież Franciszek swoją nominacją abp. Marka Jędraszewskiego na metropolitę krakowskiego zaskoczył wszystkich, nie wyłączając samego zainteresowanego. Rzadko się przecież zdarza, że informacja nie przychodzi oficjalną drogą z nuncjatury, tylko papież dzwoni osobiście, zaprasza na spotkanie w cztery oczy i oznajmia, że właśnie podjął decyzję w sprawie nominata. Abp Marek Jędraszewski odebrał telefon od papieża Franciszka, kiedy już się zbierał do Polski z rzymskiego spotkania w sprawie duszpasterstwa akademickiego.

Negatywnego zaskoczenia papieską nominacją nie kryją środowiska skupione wokół „Gazety Wyborczej”, TVN i niektórych redakcji z nazwy katolickich. Ich rozczarowanie jest podwójne. Po pierwsze wynika z alergicznej niechęci wobec dotychczasowego metropolity łódzkiego. Jej skrajnym przejawem było choćby żądanie sprostowania Komunikatu Konferencji Episkopatu Polski (sic!), który zawierał zdanie abp. Jędraszewskiego na temat środowisk tzw. „Kościoła otwartego”, kontynuujących zasadniczą linię tzw. „Kościoła postępowego” z minionej epoki. Jako następcę kard. Stanisława Dziwisza w Krakowie środowiska te chętnie widziałyby kogoś związanego z „Tygodnikiem Powszechnym”. Zgłaszały nawet imienne kandydatury. Ale czy Franciszek się z nimi nie zapoznał, czy je świadomie odrzucił? O tym cisza.

Drugi powód rozczarowania wspomnianych środowisk dotyczy bezpośrednio samego papieża Franciszka. Że może on wcale nie jest taki liberalny, otwarty i postępowy, jak chciano go widzieć i jak go opisywano. „Wyborcza” orzekła nawet, że Franciszkowa nominacja dla abp. Jędraszewskiego to dowód, iż Kościół w Polsce nie idzie drogą... Franciszka! Pojawiły się także domysły, że być może różne gesty i słowa papieża, tak chętnie wyrwane z kontekstu we wspomnianych środowiskach, są jedynie zręczną grą jezuita, który tak naprawdę jest nie mniej konserwatywny niż abp. Jędraszewski i większość polskich biskupów.

Dla zdecydowanej większości katolików w Polsce nominacja nowego metropolity krakowskiego jest jednak zaskoczeniem bardzo pozytywnym. Pokazuje, że papież Franciszek lepiej zna i rozumie Kościół w Polsce, niż nam się to mogło wydawać. Kościelna metropolia krakowska, ze względu na swe duchowe i historyczne dziedzictwo, jest faktycznie jedną z dwóch najważniejszych w Polsce i jedną z najważniejszych w całym Kościele. Dla wszystkich katolików świata Kraków to przecież stolica biskupia, z której wyszedł św. Jan Paweł II, i najważniejsze na świecie miejsce kultu Bożego Miłosierdzia. Dla Polaków Kraków to również Wawel z całą jego symboliką i historią, to również tradycyjna stolica kardynalska. Stąd głos metropolity krakowskiego ma w Kościele i w naszej ojczyźnie szczególne znaczenie. Z woli papieża będzie to głos abp. Marka Jędraszewskiego.

Franciszek ma jeszcze w pamięci bezpośrednie doświadczenie Kościoła w Polsce, szczególnie zaś Kościoła krakowskiego podczas Świątowych Dni Młodzieży. Swojemu uznaniu dla Polski, Polaków i dla Kościoła w naszym kraju dawał wyraz wielokrotnie – ostatnio podczas Narodowej Pielgrzymki Polaków do Rzymu 22 października. Dlatego w znalezienie

następcy kard. Dziwisza, a w dalszej perspektywie także kard. Wojtyły, zaangażował się osobiście. Arcybiskupa Jędraszewskiego zapamiętał pewnie jako tego, który prowadził w Łodzi „Dialogi w katedrze”, bo kiedyś go nawet pytał, czy się ksiądz arcybiskup nie boi tak wystawiać na bezpośrednie pytania z tłumu. Z „Dialogów w katedrze” zapamiętał abp. Jędraszewskiego także prefekt Kongregacji Nauki Wiary, który osobiście wiosną tego roku wręczał mu za nie specjalnego „Feniksa” – nagrodę Stowarzyszenia Wydawców Katolickich. Arcybiskup Jędraszewski dał się poznać Ojcu Świętemu jako członek i konsultor wielu watykańskich dykasterii. A podczas tegorocznego spotkania z biskupami polskimi w katedrze wawelskiej skojarzył się papieżowi jako pasterz zatroskany o ocalenie Kościoła przed dechrystianizacją, posługujący w mieście, gdzie się zaczęła zakończona w Krakowie droga powołania św. Faustyny. Być może to również św. Faustyna pociągnęła go do Krakowa?

Nie bez znaczenia jest i to, że na jedną z najważniejszych metropolii w Polsce papież mianował hierarchę cieszącego się sympatią, szacunkiem i wielkim autorytetem w episkopacie Polski. Przed ponad dwoma laty abp Jędraszewski w cuglach wygrał przecież wybory na zastępcę przewodniczącego episkopatu. Wybór dokonany przez Franciszka współbrzmi więc z wyborami dokonywanymi przez polskich biskupów. To jeszcze jeden powód do radości.

"Idziemy" nr 51/2016



Ks. Henryk Zieliński: Mocny debel

http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PR/idziemy201412_debel.html

Na czele episkopatu stanęły dwie wielkie osobowości, powiązane latami współpracy

Kto się spodziewał, że papieską zachętę do pielęgnowania jedności biskupi polscy wezmą sobie do serca tak szybko i tak dosłownie?

Zaledwie przed miesiącem Franciszek apelował do nich na zakończenie wizyty *ad limina*: „Nikt i nic niech nie wprowadza podziałów między wami, drodzy bracia!”. A tydzień temu w wyborach przewodniczącego i wiceprzewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski zgromadzenie plenarne biskupów powierzyło te funkcje dwom arcybiskupom, którzy jeszcze półtora roku temu zgodnie pracowali w tej samej archidiecezji poznańskiej. Abp Stanisław Gądecki i abp Marek Jędraszewski są równolatkami (1949), w tym samym roku 1973 przyjęli święcenia kapłańskie: ks. Jędraszewski w Poznaniu, zaś ks. Gądecki w Gnieźnie. W tym samym czasie kończyli studia specjalistyczne w Rzymie. Potem mieli okazję przez 20 lat wypróbować wzajemną współpracę, kiedy abp Gądecki jako były biskup pomocniczy w Gnieźnie objął archidiecezję poznańską w trudnych okolicznościach, po zamieszczeniu wokół abp. Paetza.

Wybory dokonane w minionym tygodniu wiele mówią o naszym Episkopacie. Dodajmy, że wiele dobrego. Pokazały bowiem, kto po upływie dwóch kadencji abp. Józefa Michalika jest w tym gremium najbardziej dla niego reprezentatywny i cieszy się największym zaufaniem. Twarzą Kościoła w Polsce są dzisiaj arcybiskupi Gądecki i Jędraszewski. A fakt, że inni biskupi nie mieli oporów, aby na czele Episkopatu postawić dwóch ludzi związanych z Wielkopolską, pokazuje, że w imię wyższych racji nasi hierarchowie potrafią się wznieść ponad myślenie w kategoriach parytetów i własnych ambicji. Wybór przewodniczącego i jego zastępcy z tego samego środowiska kościelnego jest chyba znakiem czasu. – Może biskupi

uznali, że to, co się zaczęło przed 1050 laty od Wielkopolski, wcale nie wyszło nam na zle i przed obchodami jubileuszu chrztu Polski postanowili do tego nawiązać? – żartował poproszony przeze mnie o komentarz abp Marek Jędraszewski. Niewątpliwie Kościołowi w Polsce przyda się trochę wielkopolskiej solidności, systematyczności i konsekwencji. Ale zapewne bardziej niż pochodzenie kandydatów na ich wybór miały wpływ ich osobiste predyspozycje.

Arcybiskup Gądecki dał się wcześniej poznać nie tylko jako sprawny administrator archidiecezji poznańskiej, lecz także jako zastępca przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski przez dwie kadencje. Z godnością i taktem był „drugim” w Episkopacie, kiedy jednak zabierał głos, widać było, że ma coś do powiedzenia. Jak choćby podczas Mszy Świętej w archikatedrze warszawskiej w pierwszą rocznicę katastrofy smoleńskiej 10 kwietnia 2011 roku. Zebrał za to podziękowania od wiernych i baty od upartyjnionych mediów. Jest człowiekiem modlitwy i dialogu. Znany z inicjatywy Dnia Judaizmu w Kościele katolickim w Polsce i z trzeźwej postawy w tym dialogu. W Episkopacie był odpowiedzialny za przygotowanie programów duszpasterskich na kolejne lata. Nie jest zakładnikiem żadnej partii politycznej ani żadnej frakcji w Kościele, chociaż bliżej mu do Radia Maryja niż do „Tygodnika Powszechnego”. A naszemu tygodnikowi udzielił wywiadu po swoim wyborze jako pierwszemu.

Jego zastępca abp Marek Jędraszewski jest również dobrze znany i ceniony w Polsce i na Watykanie. Zanim jeszcze został metropolitą łódzkim, jako jeden z dwóch biskupów pomocniczych został wybrany do Rady Stałej KEP. Jest wybitnym teologiem i filozofem. Ostatnio papież Franciszek mianował go członkiem Kongregacji Wychowania Katolickiego, której szefuje inny Wielkopolanin kard. Zenon Grocholewski. Prowadzi jedyne takie w Polsce „Dialogi w katedrze”. Franciszek, dowiedziawszy się o jego inicjatywach duszpasterskich w Łodzi, dopytywał go, czy nie boi się tak stanąć wśród ludzi i odpowiadać na bieżąco na ich pytania. Abp Jędraszewski jest także wielkim patriotą. Jego kazania odbijają się szerokim echem w sercach i w mediach. On też nie jest zakładnikiem żadnej partii politycznej ani frakcji w Kościele, choć i jemu bliżej pewnie do toruńskiej rozgłośni niż do krakowskiego „Tygodnika”. A najbliższej chyba do „Idziemy”, bo to on zdecydował o wprowadzeniu naszego tygodnika do Łodzi.

Na czele episkopatu staną więc mocny debel wielkich osobowości, wypróbowany przez lata współpracy. To pozwala w przyszłość Kościoła w Polsce patrzeć z nadzieją. Również z tą ludzką nadzieją.

Anna Cichobłazińska, Abp Marek Jędraszewski: Między kryzysem wartości a nihilizmem

<http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PS/niedziela201408-wartosci.html>

ANNA CICHOBŁAZIŃSKA: — Obecne czasy stawiają nas przed pytaniami, z którymi sami nie jesteśmy w stanie sobie poradzić. Wydaje się, że potrzebna nam jest narodowa edukacja o współczesnych zagrożeniach cywilizacyjnych, podana językiem przystępnym, zrozumiałym dla wszystkich. Tkwimy w wygodnym letargu, a w tym czasie osoby sprawujące władzę w instytucjach o globalnym zasięgu decydują o naszym życiu, rodzinie, sposobie wychowania dzieci. I w pewnym momencie budzimy się przerażeni, że przecież prawa te są niezgodne z naszym systemem wartości...

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI: — Jest to sytuacja, na którą powinniśmy patrzeć tak, jak nas uczył w swojej encyklice „Fides et ratio” Jan Paweł II — właśnie poprzez dwa skrzydła naszego ducha: rozum i wiarę. Wiara wzbogacona o rozum każe nam ciągle na nowo odważnie patrzeć na współczesność i jej wyzwania. Od współczesności — także od trudności, jakie ona niesie — nie wolno uciekać. Trzeba uznać, że jest taka, jaka jest: nieraz bardzo trudna, czasem niezrozumiała. A z drugiej strony trzeba mieć na tyle wiedzy o chrześcijańskiej wierze, żeby na tę współczesność spojrzeć jej oczyma. I to nie jest nic nowego. O tym, że wiara domaga się rozumu, mówił już w XI wieku Anzelm z Canterbury. Taki też w swoich dociekaniach filozoficznych i teologicznych był w XIII wieku św. Tomasz z Akwinu. Trzeba przede wszystkim wiedzieć, że z punktu widzenia dobra samej nauki nie wolno dogmatyzować jej twierdzeń, hipotez, a nawet teorii. Nauka z samej definicji zmienia swoje paradygmaty. Na tym polega jej rozwój, a równocześnie postęp cywilizacyjny, do którego się ona przyczynia. Jeżeli natomiast dogmatyzuje się pewne twierdzenia naukowe i jeżeli, z drugiej strony, niektórzy teologowie uznają pewne twierdzenia naukowe z dziedziny przyrodoznawstwa lub humanistyki za ostateczne i niezienne, zaczynają się trudności także w dziedzinie samej wiary. Na tym m.in. polegał opór niektórych środowisk teologicznych (choć nie wszystkich! — Galileusza, w czasie jego słynnego procesu przed

inkwizycją, bronili i popierali nawet niektórzy kardynałowie kurialni) wobec nowej wizji świata związanej z heliocentryczną teorią Kopernika. Z drugiej strony, jeśli dochodzi do konfliktu między nauką a wiarą, to zawsze wcześniej czy później okaże się, że prawda jest po stronie Pana Boga i Jego Objawienia. On bowiem jest Najwyższą Prawdą. Wracając do Pani pytania: właśnie w duchu mocy samej prawdy, która wyrasta z syntezy wiary i rozumu, trzeba dostrzegać różnego rodzaju zagrożenia tkwiące we współczesnej kulturze, właściwie je oceniać i innych przed nimi ostrzegać. Na tym polega funkcja prorocka Kościoła. Na pewno należy w takim duchu spojrzeć również na ostatni List Episkopatu Polski na święto Świętej Rodziny, przestrzegający przed niebezpieczeństwami związanymi z ideologią gender.

— Wydawało się, że po strasznym XX wieku ludzkość odprawiła pokutę i wkroczyła na drogę humanizmu. Tak się jednak nie stało. Zabijane są zdrowe dzieci w łonach matek, aborcji eugenicznej poddawane są chore nienarodzone dzieci, eutanazji ludzie chorzy i starzy... Niczego się nie nauczyliśmy?

Chyba Pani zbyt optymistycznie patrzy na wiek XX, jeśli Pani uważa, że po katastrofach dwóch totalitaryzmów i po tragedii II wojny światowej świat się czegoś nauczył. A nawet jeśli się czegoś nauczył, to tylko częściowo, tylko na jakiś czas, i to nie do końca. Nawet jeżeli doszło do procesu norymberskiego i osądzenia zbrodni niemieckiego, hitlerowskiego nazizmu, to nie osądzono zbrodni drugiego systemu totalitarnego: sowieckiego komunizmu. Do dzisiaj ten system nie został uznany za zbrodniczy. Czyli tak pół na pół, zgodnie z logiką zwyciężskich aliantów. Przecież w imię tej polityki z obrad procesu norymberskiego zdjęto sprawę Katynia. Taka była sytuacja polityczna i taka była wola polityczna wielkich tego świata. Po II wojnie światowej próbowano stworzyć ład oparty na humanizmie wyrażonym m.in. w Karcie Narodów Zjednoczonych (1945) czy w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (1948). Ale zabrakło tam czegoś, co jest najbardziej fundamentalne — odwołania do Pana Boga. Zabrakło podstawy, co sprawia, że jeśli będziemy myśleć tylko na poziomie pewnego humanizmu, to możemy mieć pewność: prędzej czy później zostanie on zakwestionowany przez jakąś inną doktrynę, która będzie pretendowała do miana humanizmu. I tak też się stało. Niestety, rację miał Dostojewski, który powiedział, że jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno. To samo stwierdził

Kołakowski w swojej słynnej książce z połowy lat 80. Do tego trzeba dodać bolesne, ale prawdziwe stwierdzenie: jeśli Boga nie ma, to rozum jest w stanie uzasadnić i usprawiedliwić każdą zbrodnię. Tak było w czasach totalitarnych XX wieku, tak jest również teraz.

— Totalitaryzm się odrodził?

W innej formie, ale tak, gdybyśmy oparli się na definicji Chantal Delsol, która mówi, że totalitaryzm polega na tym, iż przyznaje on jednym ludziom prawo skazywania na śmierć lub na wyeliminowanie z publicznego życia innych ludzi. Totalitaryzm bolszewicki walczył z wrogami ludu z punktu widzenia własności: wrogiem ludu był więc burżuj lub kułak; niemiecki totalitaryzm nazistowski dzielił ludzi z punktu widzenia rasistowskiego: stąd antysemityzm i związany z nim Holocaust oraz pełne pogardy spojrzenie na Słowian, przedstawianych jako rasa niewolników. A dzisiaj pojawiło się nowe kryterium — biologiczne. Ci, którzy mają władzę: sprawni, wydajni, piękni i młodzi, mogą, w imię ustanowionego przez siebie prawa, decydować o tym, że można zabić dziecko w łonie matki, o tym, że w imię tzw. konsensusu politycznego można zabijać nienarodzone dzieci z zespołem Downa, że w imię tzw. dobrej śmierci, czyli eutanazji, można eliminować starych i chorych. Nie chcą brać pod uwagę faktu, iż to, że żyją, że są młodzi, sprawni i wydajni, to dzięki temu, że — wchodząc w logikę ich myślenia — ich rodzice mieli kaprys, by mieć dziecko i nie zabić go. A ponadto żyją w przekonaniu, że będą wiecznie młodzi, że nie dotknie ich wiek dojrzały, a potem, gdy będą jeszcze żyli — postępujące starzenie się.

— **A przecież działania przeciw życiu, przeciw godności człowieka trwają już od lat. Rządy legalizują aborcję, eutanazję, nadają prawa związkom homoseksualnym, w tym — do adopcji przez te pary dzieci. A tak naprawdę dopiero ubiegłoroczna medialna akcja genderowa spowodowała w Polsce ogólnonarodową dyskusję o zagrożeniach cywilizacyjnych...**

To niewątpliwie dość późna dyskusja, bo przecież walec podważania godności człowieka, powołanego na obraz i podobieństwo Boga do życia i do przekazywania życia, trwa już od tzw. rewolucji '68. Ale — mówię tu o Polsce i krajach tej części Europy — nie do końca zdawaliśmy sobie sprawę ze skali tych zjawisk. Dla nas tamten rok wiąże się przede wszystkim z tzw. wydarzeniami marcowymi, z ingerencją wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i ze zduszeniem Praskiej Wiosny. Dla nas były to problemy utrzymania się Gomułki przy władzy poprzez to, że stał się sojusznikiem Breżniewa w walce przeciwko odnowie w czechosłowackiej partii komunistycznej, która chciała mieć bardziej ludzkie oblicze — bo tak należy patrzeć na Praską Wiosnę Aleksandra Dubèeka. Natomiast rok '68 na całym Zachodzie, od Francji, Niemiec i Włoch po Stany Zjednoczone i Japonię, to strajki studenckie obejmujące cały intelektualny świat, to Woodstock, to te same hasła: „Zabrania się zabraniać”, „Żadnego Boga czy mistrza, bogiem jestem ja”, to odrzucenie wszelkich norm moralnych związanych z życiem seksualnym i tajemnicą przekazywania życia. To ideologia, która tworzyła się od początku lat 60. i o której jeszcze do niedawna niewiele wiedzieliśmy. Myślę, że nawet partie chadeckie w Europie Zachodniej nie zdawały sobie z tego sprawy. Były pewne siebie, bo miały władzę polityczną: we Włoszech czy w Niemczech Zachodnich, tymczasem na uniwersytetach — zgodnie z teorią komunisty Gramsciego o lewicowej rewolucji dokonującej się poprzez kulturę — rozprzestrzenił się potężny, bardzo wpływowy ruch związany z hasłami, które głosili przedstawiciele tzw. szkoły frankfurckiej, zwłaszcza Herbert Marcuse ze swoją książką „Eros i cywilizacja”. Ich poglądy rozsadzały od wewnątrz ówczesne społeczeństwa zachodnie, które żyły w oparciu o powszechnie przyjmowane zasady moralności, wynikające z przykazań Dekalogu od czwartego do dziesiątego. Jak wiadomo, trzy pierwsze przykazania zostały zakwestionowane już wcześniej, w czasach Oświecenia, zwłaszcza podczas rewolucji francuskiej 1789 r.

— Czy to właśnie na uniwersytetach wykuwała się nowa, niebezpieczna ideologia?

Tak. W tych nowych ideologiach pojawiały się hasła, że trzeba się wyzwolić z wszelkich ograniczeń i że probierzem tego wyzwolenia jest to, na ile ludzie potrafią wyzwolić się z norm obyczajowych związanych z seksualnością. Była to swoista zbitka idei wchodzących w skład marksizmu i freudyzmu. W tym samym czasie, w 1968 r., na zakończenie

Roku Wiary, Paweł VI ogłosił słynne „Credo”, w którym znajduje się obszerny passus mówiący o tym, że wiara polega także na wiernym trwaniu przy nauczaniu Kościoła. Miesiąc później, w lipcu 1968 r., Ojciec Święty opublikował słynną encyklikę „Humanae vitae”, podejmującą zagadnienia moralne związane z życiem małżeńskim i prokreacją. Paweł VI odrzucił w niej dopuszczalność antykoncepcji, w tym — stosowanie słynnej wówczas pigułki antykoncepcyjnej. Encyklika spotkała się z ogromnym atakiem ze strony wszystkich „postępowych sił świata”. Co więcej, nie wszystkie episkopaty poparły jednoznacznie Ojca Świętego. Pod tym względem jednoznaczność zachował Episkopat Polski. Decyzja Pawła VI o publikacji „Humanae vitae” zrodziła się m.in. dzięki pracom kard. Karola Wojtyły. W 1968 r. rozpoczął się w świecie cywilizacji zachodniej proces przenikania do życia publicznego elementów seksualnych. Oczywiście, w imię wolności i wyzwolenia człowieka. Ten proces trwa, pokonując coraz to nowe bariery intymności związanej z godnością osoby ludzkiej. Doszło do tego, że współczesny człowiek już od dziecka jest nieustannie atakowany przez niczym nieograniczony seksualizm. Niewątpliwie wszystko to wchodzi w zakres tego, co w napisanej w 1987 r. encyklice „Sollicitudo rei socialis” Jan Paweł II określił mianem „struktur zła”. Z tymi strukturami trzeba zdecydowanie walczyć w imię ludzkiej solidarności. Do tego wzywał Papież. Potem nadszedł rok 1989. Padł mur berliński. Wydawało się, że nadeszła wreszcie wiosna dla Kościoła żyjącego w Europie Środkowo-Wschodniej. Rzeczywiście, Kościół katolicki istniejący w krajach dawnego bloku komunistycznego wyszedł z bardzo trudnej sytuacji, w przypadku Kościoła w ówczesnej Czechosłowacji z sytuacji wręcz tragicznej. Uwolnienie od dominacji ze strony Związku Radzieckiego nie było jednak kresem niedoli i nieszczęść. Na początku lat 90., wraz z wejściem w gospodarkę opartą o prawa wolnego rynku, kraje te dotknął bowiem bardzo bolesny kryzys ekonomiczny. W Polsce był on konsekwencją planu Balcerowicza.

— W tej sytuacji elementy związane z życiem i jego przekazywaniem schodziły na drugi plan...

Pamiętam dyskusje, które pojawiły się w Sejmie na początku lat 90. w związku z postulatami wielu posłów inspirujących się nauką Kościoła, aby zmienić ustawę aborcyjną z czasów Gomułki. Pamiętam także wypowiedzi ich przeciwników, którzy postulowali, by „skończyć z ideologią” i z wszelkimi „problemami pozornymi” czy też „problemami

zastępczymi”, a zająć się „realnymi problemami Polaków”. Tak jakby życie dzieci nienarodzonych było problemem pozornym, a nie problemem jak najbardziej realnym i poważnym, od którego należało zaczynać odbudowę Polski po półwiecznej dewastacji nie tylko gospodarczej, ale przede wszystkim moralnej, będącej tragicznym owocem panowania u nas komunizmu! Nota bene, dzisiejsza zapaść demograficzna Polski wynika m.in. z tego, że do dnia dzisiejszego nie powstała realna polityka prorodzinna ze strony państwa. Ciągłe traktuje się ją, mniej lub bardziej wyraźnie, jako „problem zastępczy”. Ale wracając do naszej głównej myśli: po wielu dyskusjach doprowadzono do pewnego rozwiązania kompromisowego, w wyniku którego doszło do powstania obowiązującej do dziś Ustawy o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Kompromis ten wyraźnie widać już w samych sformułowaniach tytułu tej ustawy: jest w nim mowa o płodzie ludzkim, a nie o nienarodzonym jeszcze dziecku; zostały ponadto sformułowane pewne warunki umożliwiające aborcję, czyli, w rzeczywistości, warunki dopuszczające do zabójstwa dziecka w majestacie demokratycznie stanowionego prawa. W tym kontekście trzeba dopowiedzieć jedno bardzo ważne, moim zdaniem, stwierdzenie: jest to kompromis na poziomie polityki. Ale polityka nie jest czymś, co jest constans, co jest raz na zawsze stałe. Jest ona rzeczywistością płynną, tak jak zmienne jest życie społeczne. Z tego wynika, że jeśli coś w danym okresie zostało osiągnięte jako skutek pewnego kompromisu, w przyszłości, gdy nowa sytuacja będzie temu sprzyjała, może, a nawet powinno, być poprawione. Z raz osiągniętego kompromisu nie wolno czynić dogmatu — a to ostatnio miało miejsce w przypadku prowadzonych w Sejmie dyskusji związanych z próbami poprawy istniejącej ustawy dopuszczającej aborcję. To w odniesieniu do wierzących — i nie tylko — parlamentarzystów. Z drugiej natomiast strony, jeśli Ojciec Święty Jan Paweł II w numerze 73. ogłoszonej w 1995 r. encykliki „Evangelium vitae” mówi, że w niektórych trudnych sytuacjach parlamentarzysta, jednoznacznie broniący prawa do życia dla dzieci nienarodzonych, może iść niekiedy na kompromis, „udzielając swego poparcia propozycjom, których celem jest ograniczenie szkodliwości ustawy dopuszczającej aborcję i zmierzających w ten sposób do zmniejszenia jej negatywnych skutków na płaszczyźnie kultury i moralności publicznej”, to nie odnosi się to do nauczania Kościoła i do jednoznacznych zasad, których Kościół musi bronić. Gdy chodzi o obronę życia, nie ma miejsca na kompromisy — tak jak bezkompromisowe jest

piąte przykazanie: „Nie zabijaj!”. Podobnie jest także, gdy chodzi o ochronę dzieci przed deprawacją seksualną już na poziomie przedszkoli, którą obecnie usiłuje się wprowadzać poprzez różne programy unijne i za którą stoją pewne struktury państwowe. Przykazanie szóste jest przykazaniem Boskim, które Kościół musi głosić i którego musi też zdecydowanie bronić w całej jego jednoznaczności. Tak właśnie nauczał nas Jan Paweł II, m.in. w opublikowanej w 1981 r. adhortacji „Familiaris consortio”: „Jako Nauczyciel [Kościół] nieustannie głosi normę moralną, która winna kierować odpowiedzialnym przekazywaniem życia. Nie jest bynajmniej autorem tej normy ani jej sędzią. Kościół, posłuszny prawdzie, którą jest Chrystus i którego obraz odbija się w naturze i godności osoby ludzkiej, tłumaczy normę moralną i przedkłada ją wszystkim ludziom dobrej woli, nie ukrywając, że wymaga ona radykalizmu i doskonałości” (nr 33). To samo Papież powtórzył później, w 1993 r., w encyklice „Veritatis splendor”, w numerze 95.

— Rok 2013 był czasem pewnego rozbudzenia, zainteresowania problematyką gender w mediach, zwłaszcza katolickich...

Przeglądałem prasę katolicką ostatnich miesięcy. Ukazało się w niej wiele artykułów na ten temat. Dzięki temu do społeczeństwa zaczęła powoli docierać świadomość zagrożeń związanych z tą ideologią. Rodzice zaczęli bardziej interesować się tym, czego uczy się ich dzieci lub z czym dzieci, zwłaszcza w przedszkolach, się spotykają. Stąd List Episkopatu Polski na święto Świętej Rodziny. Ja sam w liście do archidiecezjan z okazji świąt Bożego Narodzenia — w imię solidarności z małym Jezusem, Bożym Dzieckiem, które się narodziło — pisałem o miłości do dzieci, o konieczności czujności i ochrony przed zagrożeniem deprawacją niewinnych i najmłodszych. Kilka dni później otrzymałem bardzo obszerny list od pewnych rodziców, opisujący sytuację w jednej z łódzkich szkół, w której doszło do takiej deprawacji. Ich jedenastoletnia córka przyszła do domu ze szkoły wzburzona i zagubiona po tym, jak na lekcji prowadzonej przez bibliotekarkę dowiedziała się o problemach życia małżeńskiego przedstawianych na przykładach prawdziwie patologicznych — homoseksualistów. Ojciec udał się w tej sprawie najpierw do proboszcza, a następnie, za jego radą, do dyrekcji szkoły. Odbyło się spotkanie z panią dyrektorką, wicedyrektorkami i panią, która prowadziła tę lekcję. Okazało się, że w tym zdarzeniu nie dostrzeżono niczego złego. „No cóż, mleko się rozlało...” —

powiedziała bezdusznie pani dyrektor. W tej sytuacji ona nie ma już nic więcej do roboty, a ponadto pani bibliotekarka ma uprawnienia do prowadzenia tego typu zajęć. To przerażające! Okazuje się, jak ważne są postawy rodziców. Jak bardzo muszą być czujni i bronić swoich dzieci — także na terenie szkoły. Nikomu z nas nie wolno milczeć. Trzeba być znakiem sprzeciwu. Trzeba mobilizować całą opinię publiczną.

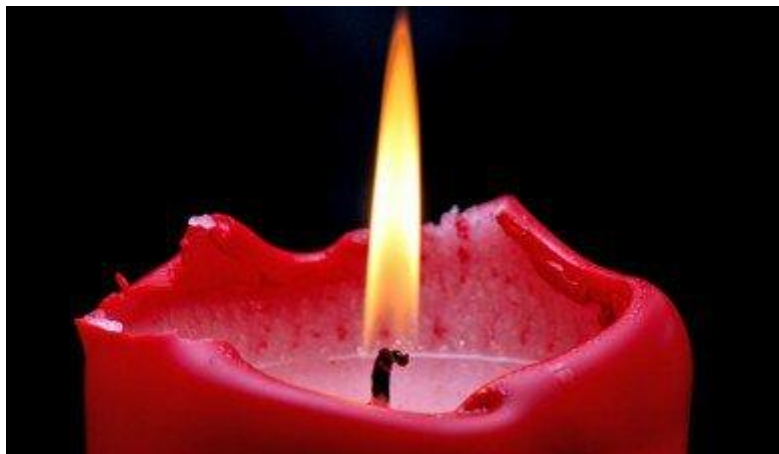
— Tylko czy starczy nam sił na protesty, jeżeli będą się one odbijać od ściany niezrozumienia...

W drugiej połowie 2013 r. w najbardziej opiniotwórczych pismach katolickich pisało się na ten temat bardzo wiele. Bogu dzięki. Był też atak medialny ze strony genderystów — z ich punktu widzenia zapewne zrozumiały. Ale rzeczywiście — może być tak, że temat się w mediach skończy. Bo trudno ciągle do tej samej sprawy wracać, a tymczasem genderyści będą dalej swój walec pchać naprzód i realizować w polskich szkołach i przedszkolach programy unijne i nie tylko unijne. Dodajmy: są to programy, które stoją w ewidentnej sprzeczności z ciągle obowiązującą Ustawą o systemie oświaty z 1991 r., gdzie w preambule wyraźnie się stwierdza, że w „nauczaniu i wychowaniu — respektując chrześcijański system wartości — za podstawę przyjmuje [się] uniwersalne zasady etyki”. Czy ideologia gender jest zgodna z chrześcijańskim systemem wartości? Pytanie czysto retoryczne. To, co się dzieje pod tym względem w wielu ośrodkach oświatowych, jest po prostu sprzeczne z prawem. Rodzi się więc kolejne pytanie retoryczne: gdzie tu jest państwo prawa? Wobec takiej sytuacji nigdy nie dość wysiłków w ukazywaniu całej prawdy o gender. A z drugiej strony ważne jest to, aby rodzice obudzili się w trosce o własne dzieci i protestowali przeciwko temu, co jest ewidentnie złe i co dzieje się także w szkole. Dzieci nie są własnością państwa, dyrekcji szkoły ani instruktorów i propagatorów genderyzmu. Odpowiedzialność za ich wychowanie jest przede wszystkim świętym obowiązkiem rodziców, którym Kościół poprzez swoją pracę duszpasterską pragnie pomóc.

Ks. Marek Gancarczyk: Piękna twarz Kościoła

http://www.opoka.org.pl/biblioteka/P/PR/gn201705_helena_kmiec.html

Pracowała jako stewardesa. A z przyjaciółką wymieniały się takimi myślami: 'Mówiliśmy o życiu i o śmierci. Zgodnie stwierdziłyśmy, że najpiękniejsza śmierć to śmierć w służbie Panu Bogu'. Pan Bóg pozwolił jej tak umrzeć



Niech mi wybaczą rodzice i wszyscy bliscy Heleny Kmieć, młodej Polki zamordowanej w Boliwii. Bez jej śmierci nie moglibyśmy po raz kolejny zobaczyć pięknej twarzy polskiego Kościoła. Helena Kmieć była piękną, znakomicie wykształconą młodą dziewczyną. Nie tylko otwartą na świat, ale łaknącą świata. Dwa lata liceum spędziła na stypendium w

Leweston School w Sherborne w Wielkiej Brytanii. W Polsce studiowała inżynierię chemiczną w języku angielskim. Uczyła się śpiewu solowego. Pracowała jako stewardesa. A z przyjaciółką wymieniały się takimi myślami: „Mówiliśmy o życiu i o śmierci. Zgodnie stwierdziłyśmy, że najpiękniejsza śmierć to śmierć w służbie Panu Bogu”. Pan Bóg pozwolił jej tak umrzeć. Na pół roku pojechała jako wolontariuszka misyjna do Boliwii, gdzie zginęła od ciosów zadanych nożem.

Leży przede mną kolejny numer „Wysokich Obcasów”, dodatku do „Gazety Wyborczej”. Czasami go przeglądam. Są w nim opisane nieraz bardzo skomplikowane historie młodych i starszych kobiet. Często dobrze wykształconych, pięknych, łaknących świata, z biznesowymi sukcesami na koncie. Ale też z życiowymi porażkami. Co odróżnia te historie od krótkiego życia Heleny Kmieć? Raczej nie znajdzie się w nich wyznania, że „najpiękniejsza śmierć to śmierć w służbie Panu Bogu”. Wszystko inne może być podobne: pasja życia, marzenia, chęć poznania świata. Natomiast Bóg, jeżeli już się pojawia, to raczej w charakterze problemu czy przeszkody do pokonania.

Piękne oblicze Kościoła krakowskiego pokazał także ingres abp. Marka Jędraszewskiego do katedry wawelskiej. Zupełnie inne od wspomnianego wyżej, ale równie niezwykle. Też aż trudno uwierzyć, że są takie miejsca, jak wawelska katedra, gdzie od kilkuset lat kolejni biskupi przejmują odpowiedzialność za diecezję, za zbawienie dusz wiernych. W swojej homilii abp Jędraszewski zacytował słowa Karola Wojtyły, który w czasie swojego ingresu w 1964 roku powiedział m.in.: „Zdajemy sobie wszyscy dobrze sprawę, że wejść do tej katedry nie można bez wzruszenia. Więcej powiem: nie można do niej wejść bez drżenia wewnętrznego, bez lęku, bo zawiera się w niej – jak w mało której katedrze świata – ogromna wielkość, którą przemawia do nas cała nasza historia, cała nasza przeszłość”. Jeżeli już młoda Polka musiała zginąć w dalekiej Boliwii, to chyba dobrze, że stało się to w czasie poprzedzającym ingres. W ten sposób wielka historia w bardzo namacalny sposób połączyła się z teraźniejszością.

I na koniec jeszcze jedna wypowiedź przyjaciółki zamordowanej Polki: „Helena wiedziała, że Boliwia to miejsce bardziej niebezpieczne niż Afryka. Tym bardziej chciała tam pojechać”. Jak więc widać, nie brakowało jej odwagi. Przywołuję te słowa w związku z wywiadem, jakiego „Gościowi Niedzielnemu” udzielił prezydent RP Andrzej Duda (ss. 22–25). Prezydent po raz kolejny zadeklarował swoje poparcie dla ochrony życia dzieci nienarodzonych i konieczności zmiany ustawy o in vitro. To niezwykle cenne. Wydaje się jednak, jakby rządzącym brakowało odwagi, by zabrać się za sprawy najważniejsze.

Jest to słowo wstępne redaktora naczelnego "Gościa Niedzielnego" ks. Marka Gancarczyka do nr 5/2017